



Krzysztof  
Spadło

# Skazaniec

Tom II

 Silver Lemon

Przez kilka kolejnych tygodni pokłosie walki z politycznymi przeciwnikami sanacji zamieniło wronieckie zakład karny w spichlerz aresztantów. Sytuacja zaczęła przerastać możliwości więzienia. Cele, które w boku D przeznaczono na tę okoliczność, zamieniły się z pojedynczych w podwójne. Dozorcy plotkowali, a do naszych uszu docierały informacje, że zaczyna się robić ciasno. Władze wielu więzień na terenie kraju borykały się z tym samym problemem. Najgorsze ponoć było to, że skarb państwa nie miał pieniędzy, które mogłyby pomóc w utrzymaniu placówek.

Pewnego dnia usłyszałem, jak Robalski rozmawiał z Frantzem.

– Zalewski powiedział, że tutaj nie jest sanatorium i od przyszłego tygodnia pędzimy całą hołotę do roboty. Najlepsi fachowcy do warsztatów, a reszta w pole i do chlewni.

I tak też się stało.

Dzięki kontaktom innych więźniów z aresztantami zyskaliśmy pojęcie, co się właściwie dzieje w Polsce.

– I widzisz teraz, jak to jest, kiedy ma się bałagan w głowie – powiedział Suchy podczas obiadu i spojrzął na Piotrusia Jąkałę. – Myśleliście, że po drugiej stronie czeka was jakaś wielka rewolucja, spodziewaliście się eksplozji, a to było tylko zwykłe pierdnięcie. – Miał na myśli nastawienie tych, którzy zdecydowali się w maju na ucieczkę. – Plotki, ploteczki, banialuki. Dałeś się omamić durnymi hasłami i popatrz, jak skończyłeś. – Usta wykrzywił mu kwaśny grymas. – Napakowałeś sobie bzdur do łba, mogłeś być kimś, mogłeś mieć udane życie, a skończyłeś w pierdłu i straciłeś pół twarzy.

– Suchy, miej litość, człowieku, daj mu spokój – wziąłem w obronę mojego rówieśnika.

– Maaa-aaa-sz raa-aaa-cję – potwierdził jego słowa Biegański.

– Wiem, że mam – skwitował Suchy. – A ty masz teraz mnóstwo czasu, żeby sobie to wszystko przemyśleć i dojść do jakiś sensownych wniosków. Oczywiście życzę ci, żeby były one jak najbardziej właściwe. Ludzie są niesamowicie głupi i naiwni, oczywiście nie mam was na myśli – zarzekł się natychmiast, unosząc dłoń w taki sposób, jakby chciał odepchnąć od nas to stwierdzenie. – Popatrzcie, źle się dzieje i co robi władza? – Spojrzął na nas pytającym wzrokiem. – Daje motłochowi rozrywkę. Igrzyska. Po co mówić o kolejnych porażkach upadających rządowych gabinetów i braku pomysłu na uzdrowienie chorego kraju? Po co o tym głośno gadać? Lepiej ciskać informacjami, że na stadionach padają rekordy Polski w jakiś durnych biegach, a nasza lekka atletyka jest na światowym poziomie. Tak to się właśnie robi, panowie, tak się mydli oczy ciemnym masom. Powiem wam jedno, człowiek musi sam zadbać o siebie i swoje interesy. Koniec, kropka. Ideałami to można zabić czas przy kuflu piwa. Taka jest prawda. A jeśli ktoś chce się karmić pierdołami, to na pewno będzie chodził głodny.

Suchy miał swoje przekonania i nic nie było w stanie zmienić jego nastawienia do życia. Chcąc nie chcąc, w duchu przyznałem mu rację.

Upalne lato chyliło się ku końcowi, a cały świat tonął w strugach ulewnego

deszczu. Niemal każdego dnia szalały porywiste burze, a grzmoty błyskawic pruły przestrzeń ponad naszymi głowami. Mało kto mówił o pogodowych anomaliach i zawirowaniach klimatu, wygodniej było twierdzić, że ludzie rozgniewali Boga.

Było kilka takich nocy, kiedy myślałem, że pioruny rozniosą te mury w drobny pył. Wydawało się, że bezlitosne ogniste gromy rozerwą połączenie ciemnego nieba. Ich jasnoblękitny blask potrafił bez trudu oślepić człowieka na kilka sekund. Moc, jaka czaiła się w tych przerażających błyskach, zamieniała celę w pomieszczenie o ścianach tak białych, jakby ich toń była zmieszana z trupim chłodem.

To właśnie w jeden z tych deszczowych dni przybył skazaniec, a właściwie dwóch skazańców, którym w ewidencji osadzonych przydzielono ten sam numer, 10-08. Trafili tutaj w związku z reorganizacją systemu polskiego więziennictwa. Wcześniej byli osadzeni w Więzieniu Ciężkim na Świętym Krzyżu. Kiedy dotarli do Wroniek, od razu znaleźli się na oddziale izolacyjnym.

Pewnie zaraz uśmiechniecie się pod nosem... ale tak sobie myślę, że te grmiące dni to był wyraźny znak. Znak od Boga. To było ostrzeżenie dla wszystkich, bez wyjątku, że oto w mury wronieckiego więzienia przybywa coś bardzo złego.

Pierwszy więzień z numerem 10-08 był zamknięty na izolacyjnym prawie przez trzy miesiące i opuścił samotną celę tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Od tego czasu został współbiedniakiem przy naszym stole. Drugi zaś dołączył do nas kilka tygodni później. Opowieść o nich jest tak pogmatwana, że nawet dzisiaj nie wiem, gdzie leży prawda. Najważniejszy jednak jest finał tej historii, której mroczną tajemnicę skrywałem w sercu przez długie lata. Dopiero pisząc ten pamiętnik, zdecydowałem się ją wyjawić.

Chociaż może, zanim powrócę wspomnieniami do więźnia 10-08, najpierw opowiem wam o tym, jak na drodze mojego życia pojawił się profesor Albert Czarnecki. Muszę o nim wspomnieć, ponieważ był to niezwykle człowiek o nieprzeciętnym umyśle i wszechstronnej wiedzy. Człowiek, który nie popełnił nawet najmniejszego wykroczenia, a mimo to został brutalnie okaleczony przez system, który był żądny władzy.

Kiedy Zalewski błyskawicznie wcielił w życie plan pracy dla czasowo zatrzymanych, bo tak formalnie określano aresztantów, zmieniła się również szara codzienność więźniów. Skończyły się osobne posiłki, a stołówka przypominała zorganizowany bal przebierańców. Ludzi bez szarych więziennych drelachów nazywaliśmy cywilami. Nie wszystkim z nich było w smak spędzać czas razem z prawdziwymi więźniami i czasami dało się słyszeć jakieś głosy protestu. Z drugiej strony, taka sytuacja obrażała niektórych skazanych i były przypadki, że cywil dostał po pysku za głupie gadanie.

Samo życie.

Pewnego wrześnieowego dnia wróciłem po obiedzie do celi i przeżyłem szok. Na mojej pryczy siedział starszy mężczyzna w ciemnym garniturze i kremowej koszuli. Stałem w drzwiach jak wryty.

- Na jakiś czas dostałeś współlokatora – powiedział do mnie dozorca Robalski.
- To... – chciałem zapytać o wiele istotnych spraw, ale klawisz zatrzasnął

drzwi.

Byłem kompletnie zbity z tropu.

Na stole leżały dwa koce i poduszka.

Mężczyzna wpatrywał się tępym wzrokiem w ścianę. Jeszcze raz go zlustrowałem. Czarne, wypastowane buty lśniły eleganckim blaskiem, spodnie wyprasowane w kancik, dwurzędowa marynarka, kamizelka zapięta na ostatni guzik, wykrochmalona koszula, muszka pod szyją i koronkowa chusteczka włożona do brustaszy marynarki. Twarz nie zdradzała niczego szczególnego. Spora łysina, szpakowate włosy zaczesane do tyłu. Tylko krótka szczecina zarostu na policzkach zupełnie nie pasowała do reszty jego wizerunku. Jak na moje oko, facet miał sześćdziesiąt parę lat.

Podszedłem bliżej.

– Stanisław Żabikowski – przedstawiłem się i wyciągnąłem w jego kierunku dłoń na powitanie.

Mężczyzna tylko spojrział na mnie wystraszonym wzrokiem.

Wstał z łóżka i usiadł na taborecie przy stole. Nie odezwał się ani słowem.

Położyłem się na łóżku i przyglądałem się mu z zaciekawieniem.

– Będziemy tak milczeć? – zapytałem.

Siedział bez ruchu i nawet nie zerknął w moją stronę.

Trwał niczym posąg do chwili, aż odezwał się gong na sterowni obwieszczający wyjście na kolację. Kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem, powiedziałem:

– Wychodzimy, obserwuj uważnie i rób to samo co inni.

Mój współlokator nadal milczał. Omiotłem dookoła wzrokiem i stwierdziłem, że nie tylko ja jeden zyskałem towarzystwo. Przy wielu celach zobaczyłem więźniów w towarzystwie cywilów.

Kiedy znaleźliśmy się na stołówce, stał w kolejce tuż za mną. Od czasu do czasu padała jakaś uwaga na jego temat.

– O kurde, ale elegancik.

– Hej chłopie, wybierasz się na jakiś raut?

– Niezły garniturek.

Mężczyzna nie reagował na zaczepki. Wziął swój posiłek z okienka wydawki i podązał za mną. Kiedy usiadł przy krawędzi stołu, Suchy syknął w jego kierunku:

– Spierdalaj stąd!

– Przestań! – warknąłem. – On jest ze mną. Siedź! – Wskazałem mu palcem miejsce, kiedy chciał się podnieść.

– Jak to z tobą? – zapytał z niedowierzaniem.

– Przydzielili mi go do celi, ale nie wiem, o co chodzi, bo on nic nie mówi – odparłem.

– Coś za jeden? – rzucił w jego kierunku Suchy i spoglądał na niego przez dobrą minutę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: – Może to jakaś niemowa?

Wzruszyłem ramionami i zabrałem się do kolacji.

Nasz nowy współbiednik nie odezwał się ani słowem.

Wróciliśmy do celi. Miałem nadzieję, że w końcu o czymś pogadamy, ale on usiadł na taborecie i nadal milczał jak zaklęty.

Kiedy zaczęło się zmierzchać, odpiął muszkę, zdjął marynarkę i kamizelkę, rozłożył jeden koc na podłodze i ściągnął buty. Położył się na prawym boku, wsparł głowę o poduszkę i nakrył się drugim kocem.

Chyba jakiś dziwak – przemknęło mi przez myśl.

– No jak tam chcesz, możemy się nie odzywać – skwitowałem i obróciłem się do ściany.

Leżałem jakiś czas bez ruchu, błędząc myślami gdzieś daleko stąd.

W pewnym momencie usłyszałem cichy szloch.

Nadstawiłem uszu.

Płakał.

– Nic się nie martw, będzie dobrze – szepnąłem w ciemność.

Nadal milczał.

Przez dwa kolejne dni mój współtowarzysz nie wypowiedział ani jednego słowa i wylewał łzy każdej nocy. Przyznam się, że trochę mnie to drażniło, ale wolałem trwać z nim w milczeniu, niż szukać konfliktu.

Drzwi do stolarni z hukiem otworzyły się na oścież. Do środka wpadło światło dnia, podmuchy świeżego powietrza oraz aspirant Szumski.

Zrobił dwa kroki, zatrzymał się i kiwnął palcem, przywołując mnie do siebie.

– No jak tam, Żabikowski? Co słychać? Jak tam twój nowy towarzysz? – zapytał, patrząc mi w oczy.

– Milczy, panie aspirancie, nic się nie odzywa – odparłem zgodnie z prawdą.

– Może mu za bardzo dokuczasz? – W jego głosie czaiła się jak zawsze obsesyjna podejrzliwość, ale na szczęście nie czekał na moją odpowiedź. – Tak, Żabikowski, jedni odchodzą, inni przychodzą, a ty wciąż na posterunku. – To coś, co pojawiło się na jego ustach, przypominało karykaturę uśmiechu. – Twój dawny kumpel Gerswalde chyba się wypiął na ciebie, co? Żadnych paczek, listów, pocztówek. Kompletnie nic. – Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił. Zaciągnął się głęboko dymem i dmuchnął mi prosto w twarz. – Parszywe to twoje życie, Żabikowski, chyba nikt cię nie lubi – westchnął. – Ja zresztą też. Wiesz – położył mi dłoń na ramieniu – czasami jak myślę o przeszłości, to kilka spraw spędza mi sen z powiek. Czarny, Hrabia, Prezes... – zatrzymał się w pół zdania, szukając odpowiednich słów – oni nagle pstryk – strzelił palcami – zniknęli z twojego życia, jakby ich wcale nie było. Odeszli niespodziewanie, a wraz z nimi mnóstwo spraw, które mogły przerodzić się w spore problemy. Cwaniak jesteś, Żabikowski, cwaniak jak jasna cholera! – Poczuję, jak zacisnął palce na moim barku. – Lawirowałeś, knułeś, mataczyłeś i jakoś się wyslizgałeś z tego szamba. – Szumski pochylił się nieco w moją stronę i szepnął: – Myślisz, że nie wiem, co działo się z Duszańskim przez ostatnie pół roku jego odsiadki? – Poruszał biodrami w sposób imitujący seksualną czynność. – Poskładałem do kupy wszystkie fakty, ale ten kretyń Mikrut zrobił coś nieprzewidywalnego i dzięki temu uszło ci na sucho. – Postukał się placem wskazującym w skroń. – Ja myślę, Żabikowski, myślę o tym i ciągle pamiętam. Nie miałem czasu zająć się tobą, bo banda debili postanowiła opuścić gościnne mury więzienia. No i udało im się uciec. Tyle że zamiast za bramę, dotarli prosto na tamten

świat – prychnął z pogardą. – Teraz mamy tutaj zamieszanie z aresztantami, ale jeszcze trochę i sytuacja się wyklaruje, a wtedy... – Znowu zawiesił głos. – Wtedy wspólnie popracujemy nad naszymi stosunkami. – Jego słowa zabrzmiały jak ostrzeżenie. Poczulem, że moje nogi robią się wiotkie w kolanach. – Na szczęście nigdzie się nie wybierasz i mamy dużo czasu.

Szumski obudził w moich wspomnieniach przeszłość, która jakiś czas temu zapadła w twardy sen.

Człowiek, który dzielił ze mną małą celę, pierwsze swoje słowa wypowiedział późnym sobotnim popołudniem.

Stałem w oknie i rozkoszowałem się smakiem tytoniu, kiedy nagle do moich uszu dotarło:

– Bardzo dużo palisz, młody człowieku.

Obróciłem się w kierunku mojego rozmówcy.

– O, potrafisz mówić – odpowiedziałem, starając się, aby zabrzmiało to żartobliwie. – Fajki – spojrzałem na tłącego się papierosa – to moja jedyna słabość – westchnąłem. – Jak się nazywasz? – zmieniłem temat. Trochę głupio się czułem, zwracając się do niego na ty. Mógł być moim ojcem, a kto wie może nawet i dziadkiem. Poza tym patrząc na jego ubiór, na jego gładkie dłonie i sposób, w jaki się zachowywał, przypuszczałem, że nie należał do najniższej klasy społecznej.

– Albert Czarnecki – przedstawił się i wyciągnął dłoń.

– Miło mi – odwzajemniłem uścisk. – Stanisław Żabikowski – po raz drugi powtórzyłem mu swoje imię i nazwisko – nazywają mnie też Ropuch i nie robi mi żadnej różnicy, jak się inni do mnie zwracają.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę i zapytał:

– Za co zostałeś skazany?

– Nie chcesz wiedzieć – odparłem. – Cięży na mnie wyrok dożywocia. – Dostrzegłem w jego oczach lekkie przerażenie, kiedy wypowiedziałem te słowa. – To jest więzienie i każdy, kto ma na sobie szary mundurek – machnąłem połą mojej bluzy – trafił tu za grzechy, których się dopuścił. A ty? Dlaczego się tutaj znalazłeś?

Czarnecki odwrócił wzrok i przez moment wpatrywał się w podłogę.

– Nie wiem – odparł. – To jakiś absurd. Nie powinno mnie tutaj być – powiedział łamiącym się głosem. – W poniedziałek, pięć dni temu, zjawili się w moim domu dwóch umundurowanych policjantów i dwóch pracowników polskiego kontrwywiadu z rozkazem, żeby mnie zatrzymać. Pokazali mi swoje legitymacje, ale nie udzielili żadnych wyjaśnień. Na początku myślałem, że to jakieś nieporozumienie. Musiałem się z nimi udać na komisariat policji. Tam w dość lakoniczny sposób powiedziano mi, że zostałem uznany za osobę sympatyzującą z nielegalnymi organizacjami komunistycznymi. To idiotyczne, że oskarżono mnie o coś głupiego na podstawie jakiegoś prasowego artykułu, który został powielony, a później wydrukowany...

– Zaraz, zaraz – wpadłem mu w zdanie. – Jakiego artykułu?

– Jestem profesorem ekonomii i wykładowcą tej dziedziny na katedrze Uniwersytetu Poznańskiego. Całe swoje życie zajmowałem się problemami gospodarczo-ekonomicznymi, jestem analitykiem. Napisałem na ten temat kilka

naukowych opracowań, dwie książki i z setką prasowych artykułów. Jeden z nich został przedrukowany na łamach podziemnej prasy.

– Nie bardzo rozumiem – rzekłem. – Chcesz mi powiedzieć, że coś napisałeś, ktoś to wydrukował i dlatego się tutaj znalazłeś?

– Ja też tego nie rozumiem. – Pokiwał głową i wbił wzrok w podłogę.

– Co napisałeś, że zrobili z ciebie aresztanta? – dociekałem.

– Ekonomia, gospodarka i polityka – zaczął mówić – to trzy dziedziny życia, które są od siebie uzależnione. Tworzą całość. To mechanizm działający na trzech poziomach i jeśli porównać go do urządzenia, które jest skonstruowane z zębatych kół, to chodzi o to, żeby wszystkie tryby do siebie pasowały. – Chyba na chłopski rozum starał mi się wyjaśnić istotę sprawy. – Politycy otaczają się ekspertami z dziedziny gospodarki, ekonomii, bankowości... Ważne jest, żeby właśnie ci ludzie byli w miarę jednomyślni w swoich poczynaniach. To do nich należy budowa odpowiedniej struktury rynku i gospodarczego rozwoju, a co za tym idzie, osiągnięcia zadowalającej sytuacji ekonomicznej. Złe decyzje powodują zapaść i kryzys. – Zerknął na mnie i chyba dostrzegł po mojej minie, że mówi o rzeczach, o których nie mam pojęcia.

Uważam, że Czarnecki na pewno był świetnym wykładowcą, ale problem w tym, że jego słuchacze musieli mieć podstawową wiedzę z dziedziny, w której się specjalizował. Ja byłem w tym temacie kompletnie zielony. Na nic się zdały jego szczegółowe wyjaśnienia, dla mnie była to magia. Używał pojęć, które brzmiały jak zagadka egipskich hieroglifów. On mówił, a ja słuchałem. Myślę, że potrzebował się wygadać. Wicie, taka terapia, gdzie lekarski gabinet zastępuje więzienna cela.

– To samo tyczy się strategii opracowywanej na najwyższych szczeblach władzy państwowej – ciągnął. – Kiedy w maju piłsudczycy dokonali politycznego przewrotu, sytuacja gospodarczo-ekonomiczna kraju wpadła w spiralę chaosu. Wszystko, co wcześniej stworzono, runęło niczym lichy domek z kart. Kolejne gabinety, które powoływano w Belwederze, nawet nie miały szansy na rozpoczęcie pracy. W pierwszej połowie sierpnia napisałem artykuł o tym, jaki wpływ ma rządowa ruletka na sytuację w kraju i na życie przeciętnego Polaka. Krytycznym piórem potraktowałem gospodarność wcześniejszych elit rządowych, które przez kilka lat nie skonstruowały niczego wartościowego. Tak samo odniosłem się również do terażniejszości. Zawsze przez całe moje życie byłem apolityczny. Nigdy nie utożsamiałem się z żadną partią lub ideologią. Interesowały mnie jedynie mechanizmy z zakresu ekonomii i gospodarki. I napisałem ten nieszczęsny artykuł, podpisując go oczywiście swoim imieniem i nazwiskiem. Nigdy nie ukrywałem się za owalem anonimowości i nie używałem pseudonimów. Zawsze brałem pełną odpowiedzialność za swoje słowa i nieważne, czy wypowiadałem się na publicznym forum podczas naukowych sympozjów czy na łamach gazet. Tekst, który został opublikowany w prasie, pojawił się również bez mojej zgody w jakiejś komunistycznej broszurze. Po prostu ktoś go powielił i wydrukował na stronach nielegalnego pisma. To okazało się dla mnie zgubne. Nic nie pomogły moje wyjaśnienia na posterunku policji. Śledczy spisali zeznania i oficer zajmujący się tą sprawą stwierdził, że zostaną zatrzymani aż do wyjaśnienia wszelkich wątpliwości, ponieważ ciąży na mnie podejrzenie o przynależność do jakiejś komunistycznej

organizacji. – Zamilkł. Wziął kilka głębokich oddechów i powiedział: – Nie spodziewałem się tak idiotycznego zarzutu. W głowie mi się nie mieści, jak to możliwe, żeby za taki banal trafić do takiego miejsca jak to. – Zrezygnowany pokręcił głową.

– Nic się nie martw – starałem się go pocieszyć. – Sprawa się szybko wyjaśni i wrócisz do domu.

– To nie chodzi tylko o to, młody człowieku, kiedy wrócę do domu. Pomyśl – obrócił się w moim kierunku, a jego głos nagle się ożywił – jakże bezkarnie może się panoszyć władza. Wystarczy cię podejrzenia i można zniszczyć człowieka, jego dobre imię, dorobek, psychikę, karierę. – Wiem, co miał na myśli Czarnecki, ale mój umysł funkcjonował w innej przestrzeni. Jego słowa bezpośrednio odniosłem do własnego życia w tym miejscu, życia ludzi wewnątrz więziennych murów.

Do Alberta Czarneckiego przylgnęła ksywa „Profesor”. Zresztą taki miał tytuł naukowy.

– Przynajmniej dzięki temu czujesz się tak jak w domu – powiedział Suchy, kiedy rozwodził się nad istotą jego ksywki. – Ale jednego to ci zazdrozczę – stwierdził. – Wiele bym dał za to, żeby poruszać się po tym pierdłu w dobrze skrojonym garniaku i błyszczących lakierkach. – Nieźle nas rozbawił swoim powodem do zazdrości. – Przydałby się jeszcze szykowny sygnet na paluchu – zawachlował palcami – i cygaro, a na słoneczne dni jakiś elegancki kapelus.

– Kiedyś to był ładny garnitur – odparł Profesor. – Dzisiaj – spojrzał po sobie – dzisiaj to już tylko brudny, wyświechtany łach.

Z pewnością ubranie nie nadawało się do pracy w polu, gdzie zaangażowano Profesora, i po kilku dniach wiele straciło z dawnego szyku. Powiem wam, że to była trochę dziwna sprawa. Naczelnik Zalewski doskonale wiedział, z kim ma do czynienia, i wcale nie uszanował rangi zawodu i wykształcenia Czarneckiego. Myślę, że z czystej złośliwości oraz z próżnej chęci zamanifestowania potęgi urzędu i piastowanego stanowiska chciał mu po prostu pokazać, że tutaj nie ma podziału na chamów i intelektualistów. W więzieniu wszyscy osadzeni są równi.

Czarnecki co kilka dni był przesłuchiwany przez tych samych śledczych, którzy ponoć bezustannie rozwijali nowe wątki. Z jego opowieści wynikało, że przedstawiciele władzy na siłę szukali jakiegoś motywu, który połączyłby jego osobę z niewygodnymi dla państwa organizacjami. Nie wiem dlaczego, ale przyjąłem, że sprawa miała się tak, jak twierdził Profesor. Wierzyłem mu na słowo, bo miał w sobie coś takiego, że wzbudzał zaufanie. Poza tym widziałem, że więzienie przytłacza go jak nikogo innego. Zupełnie nie potrafił się tutaj odnaleźć. Ten świat go przerażał i niszczył.

Od tego dnia, kiedy zaczęliśmy rozmawiać, Czarnecki przylgnął do mnie jak mucha do lepu, a ja czułem się tak, jakbym roztaczał nad nim swoją opiekę. Było kilka jakiś durnych sytuacji, że komuś się coś nie podobało w jego osobie, wiecie, ot tak, dla hecy jeden z drugim szukali zaczepki. Nie rzucałem się zaraz z pięściami i nie zasłaniałem go własną pierśią, ale reagowałem we właściwy sposób i nie pozwalałem, żeby mu dokuczano. Po prostu byłem mu życzliwy.

W związku z tym, że spędzaliśmy ze sobą sporo czasu, dużo się o nim



dowiedziałem. Był gadatliwy i potrafił bardzo interesująco opowiadać. Mówił o swojej żonie, która miała na imię Anna, i o swojej dorosłej córce Ligii, która poszła w jego ślady i zajęła się naukami społecznymi. Wspominał przeróżne historyjki z ich wspólnego życia, opowiadał o zagranicznych podróżach, o miejscach, które widzieli, o wspaniałych alpejskich kurortach i piaszczystych plażach nad Adriatykiem, o egzotycznych potrawach i trunkach, które zmysłowo łaskotały jego podniebienie. Chłonałem te magiczne opowieści jak dziecko. Poznawałem nie tylko jego życie, ale także jego obserwacje, przeżycia i rozległą wiedzę. Nie, nie uczył mnie podstaw ekonomii, nie o to chodzi. Profesor swoimi słowami ukazał mi świat, którego nigdy nie miałem okazji zobaczyć, ale dzięki niemu czułem się tak, jakbym był w tych wszystkich wspaniałych miejscach. Za sprawą jego słów wędrowałem ulicami Paryża, zwiedzałem zabytki Luwru i spacerowałem po Polach Elizejskich. Płynąłem gondolą, kołysząc się na falach weneckich kanałów i podziwiałem kochanków stojących na Moście Westchnień. Ruiny Akropolu miałem na wyciągnięcie ręki, spoglądałem na arenę rzymskiego Koloseum, a w moich uszach rozbrzmiewał ryk tłumu żądnej krwi walecznych gladiatorów. Widziałem oczami wyobraźni krętą ścieżkę wiodącą wprost pod bramę bajkowego zamku w Neuschwanstein. Chwilę potem rozkoszowałem się goryczką bawarskiego piwa i smakiem chrupiącej skórki z golonki. Każda podróż z nim była nie tylko geograficzną i kulinarną wyprawą, ale także poznawaniem historii, kultury i mentalności innych narodów.

Kochałem te opowieści.

Słuchając Profesora, zdałem sobie sprawę, że moje życie, że wszystko, czego mogłem doświadczyć, dawno temu wyszliźnęło mi się z rąk i bezpowrotnie umknęło. Nie miałem żadnych złudzeń. Nawet jeśli los potraktuje mnie jak Ojczulka i wypchną mnie za bramę, to co wtedy zrobię? Ruszę na podbój świata? Z jedną koszulą na grzbiecie, z workiem jutowym w dłoni, z porcją suchego prowiantu i paroma groszami na życie? Zdziadziały i niedołączny mam się odnaleźć w nierealnej dla mnie rzeczywistości? Bzdura.

To właśnie o tym mówił Ojczulek. Zacząłem dopiero teraz rozumieć jego słowa i zazdrościć mu, że miał dokąd wrócić.

Nie wątpię w to, że pięknie jest marzyć i mieć nadzieję. Te uczucia na pewno są cudowne i chyba potrafią wspaniale motywować. Mieć wiarę w przyszłość to jest coś! Ale skąd czerpać wiarę, skoro nie ma przyszłości?

Czymże ja mogłem się zrewanżować Profesorowi? Jedyne opowieściami o więziennym życiu, o tym, jak człowiek funkcjonuje w miejscu, które jest odizolowane od reszty świata. Mogłem mu powiedzieć, czego należy się tutaj wystrzegać i o co zadbać. To, co dla mnie od kilku lat było szarą codziennością, dla niego brzmiało jak ponure historie z krainy mroku. Miałem wrażenie, a on pewnie też, że pochodzimy z dwóch odległych zakątków wszechświata. Byłem jednak bardzo dumny z tego, że mogłem się pochwalić, iż właśnie tutaj, w tym parszywym miejscu, nauczyłem się pisać i czytać. Powiedział wtedy jedno słowo:

– Imponujące! – I spojrzał na mnie wzrokiem, który miał w sobie bezkresny ocean uznania,

W pierwszą niedzielę października, tuż przed południem, od strony bramki wyjściowej ze spacerniaka rozległo się donośne nawoływanie klawisza:

– Czarnecki, odwiedziny! Czarnecki!

Profesor poderwał się na równe nogi i prawie krzyknął do mnie podekscytowanym głosem:

– Co mam robić? Dokąd iść? Mam odwiedziny! – Na jego skroniach pojawiły się krople potu. – Słyszeliście?! Mam odwiedziny!

– Idź do wyjścia – odparłem opanowanym głosem i kiwnąłem głową, wskazując mu kierunek.

– Tylko spokojnie, Profesorku – rzucił Suchy. Wątpię, żeby Czarnecki usłyszał te słowa, bo prawie pognął w tamtą stronę. – Nerwowo – zachichotał Suchy. – Patrz, jak śmiesznie przebiera kopytkami.

– Gdybyś był na jego miejscu, też byś tak zasuwał – skwitowałem.

– No dobrze, a teraz zacznij się nad nim rozczulać. – Przewrócił ostentacyjnie oczami i pokręcił głową. – Opowiedz, jaki jest fajny i jakiego ma pecha, że go zapuszkowali.

– A żebyś wiedział, że tak właśnie jest – warknąłem. Czasami dobijała mnie ta jego cholerna nonszalancja i kpina. – Temu człowiekowi zrobiono krzywdę, nie powinno go tutaj być.

– Bo ty wiesz, kto powinien siedzieć, a kto nie – powiedział tak, jakby to on był szefem od wszelkich kompetencji.

– A żebyś wiedział, że wiem – odparłem i parsknąłem ustami. – Wszyscy, co mają szare wdzianka, znajdują się we właściwym miejscu, a każdy cywil, którego masz w zasięgu wzroku, raczej nie powinien się tutaj zjawić.

– Piotruś, a ty co o tym sądzisz? – rzucił Suchy w stronę naszego kompana. – Tylko nie dukaj, błagam cię! Skrobnij rysikiem po papierku.

Biegański spojrział na niego i machnął ręką, dając mu do zrozumienia, że ma gdzieś to puste gadanie.

Przez dłuższą chwilę spoglądałem na ludzi kręcących się po spacerniaku.

– Nie macie wrażenia, że cywilów jest jakby trochę mniej? – zapytałem.

Kątem oka dostrzegłem, jak Piotruś Jąkała sięga do kieszeni bluzy po kartkę i ołówek.

– Czy ja wiem – odparł Suchy. – Kto by ich tam zliczył. – Jego słowa zabrzmiały tak, jakby chciał nas utwierdzić w przekonaniu, że generalnie ma to wszystko gdzieś. Strzelił wzrokiem w stronę Biegańskiego i też zobaczył, że nasz gryziپیórek kreśli jakąś wiadomość.

Kiedy tamten skończył, podał mi kartkę.

– Strażnicy powiadają, że najdalej do końca roku nie będzie już aresztantów – przeczytałem zapisek.

– Czyli sytuacja w kraju smoka wawelskiego została opanowana, a nastroje uspokojone. – Suchy od razu wyciągał wnioski. – Teraz sami widzicie, jak się postępuje z durnym narodem. Wystarczy pogrozić paluchem, zamachać batem, wychłostać kogo trzeba, kilku typków dla przykładu posadzić i zaraz wraca porządek. Zresztą chrzanić to – nagle zmienił temat i podniósł się z miejsca – pora zająć się

interesami. To na razie, dziewczęta. – Zsalutował, uderzając palcami tuż nad prawą brwią i oddalił się szybkim krokiem.

Przez chwilę odprowadzałem go wzrokiem. Podszedł do dwóch więźniów z bloku C i wdał się z nimi w jakąś dyskusję pełną poklepywań po ramieniu i przeszywaną krótkimi wybuchami zawodzącego śmiechu.

– A co u ciebie? – zapytałem Piotrusia, bardziej z grzeczności niż z ciekawości. Kiedy on sięgał po swoje pisadła, powstrzymałem go słowami: – Jak chcesz, to możemy pogadać, nie przeszkadza mi, że się jąkasz. Poza tym – zerknąłem w kierunku zegara na wieży kościelnej – zostało nam jeszcze sporo czasu do obiadu. – Posłałem mu szczery uśmiech.

Bardzo szybko odniosłem wrażenie, że Biegański ma coraz większe problemy z mową. On sam zresztą to potwierdził. Coś niedobrego działo się w jego organizmie. Kiedy o tym opowiadał, na jego oszpeconej twarzy malował się wyraz zwątpienia i niemocy. Wymawianie słów sprawiało mu jeszcze większą trudność, cierpiał na nieustające bóle głowy, a lewa ręka odmówiła mu posłuszeństwa i właściwie zamieniła się w bezwładny kikut. Lekarz postawił diagnozę, że powodem tego wszystkiego jest uraz, którego doświadczył, gdy pocisk otarł się o mózg. Współczesna medycyna nie знаła jednak sposobu, żeby mu pomóc, albo chociaż ulżyć w cierpieniu.

Z każdym dniem było coraz mniej pracy związanej z ewidencją aresztantów, wypełnianiem tych wszystkich ksiąg i kwitów, prowadzeniem dokumentacji i kartotek. Piotruś obawiał się, że niebawem nadejdzie dzień, o którym wspominał z zasłyszanych plotek, że cywile znikną z więziennych korytarzy.

– Cooo-ooo-ooo wte-te-tedy beee-eee-ęęę-dzie ze mno-mno-mną? – martwił się o swoją dalszą egzystencję i codzienne zajęcia.

Nigdy nie było w tym więzieniu osoby z takimi problemami jak on, na przykładzie której można by wyrokować jego dalsze losy.

Profesor nie pojawił się na obiedzie. Samotne popołudnie w celi uświadomiło mi, że towarzystwo drugiego człowieka jest czymś wyjątkowym.

Głos Końskiej z szyderczym rechem odezwał się na dnie mojej duszy: To tylko kwestia czasu, niebawem znowu zostaniesz sam. Profesor wyjdzie albo przeniosą go do pojedynczej celi. Po co się przywiązujesz? Nie bądź głupcem!

Podczas kolacji doszliśmy do wniosku, że Czarnecki prawdopodobnie został oczyszczony z paradoksalnych zarzutów i zwolniony do domu w trybie natychmiastowym.

Byliśmy jednak w błędzie.

Uniwersytecki wykładowca pojawił się w asyście strażnika tuż przed ciszą nocną. Miał na sobie inne ubranie, był ogolony i pachnący. Kiedy klawisz zatrzasnął drzwi celi, mój współtowarzysz usiadł na taborecie i powiedział:

– Jak dobrze pójdzie, to za kilka dni opuszczę to koszarne miejsce. – W jego głosie brzmiała nadzieja. – Moja żona i córka przyjechały tu w towarzystwie rektora uczelni i dwóch przedstawicieli władz urzędu miasta. Wszyscy mieliśmy spotkanie z naczelnikiem. To nie była zbyt przyjemna rozmowa. Oczywiście nikt nie podnosił głosu i niczego nie żądał, ale osoby towarzyszące mojej rodzinie złożyły oficjalny

protest, oczekując od naczelnika, aby należycie mnie traktowano i zapewniono warunki, które nie będą mi uwłaczać. Jak widzisz, są efekty. – Pogłaskał się po brodzie i wskazał dłonią na nowe odzienie. Zamilkł na moment. – Żona i córka bardzo przeżyły tę wizytę. Rektor uczelni zapewnił mnie, że wystosował odpowiednie pisma do instytucji rządowych, których treść poparły poznańskie środowiska naukowe i akademickie. Moją sprawę obecnie wyjaśnia z organami ścigania prezydent Poznania. Ufam, że ta absurdalna sytuacja niebawem zostanie definitywnie rozwiązana.

– Będzie dobrze – życzyłem mu z całego serca, aby jego oczekiwania czym prędzej się spełniły.

Bardzo chciałbym wam powiedzieć, że wszystko potoczyło się po myśli Profesora, że temat jego zwolnienia z aresztu nabrał tempa, a niesłuszne oskarżenia zostały wyjaśnione. Niestety tak się nie stało. Mało tego, duma naczelnika Zalewskiego została chyba nieźle sponiewierana, bo wkrótce sprawił, że pobyt Czarneckiego w więzieniu stał się jeszcze bardziej przykry.

Profesor już następnego dnia, zamiast do prac w polu, trafił do folwarku. Folwarkiem nazywaliśmy obory i chlewnie, które należały do wronieckiego więzienia. Smród, gnój, wywalanie obornika, karmienie zwierząt i obcowanie z ekipą, która tam pracowała, na pewno nie należały do przyjemności. Po kilku dniach pojawiły się pierwsze konflikty. Zaczęło się od słów i kuksańców, a skończyło na czynach. Czarnecki oberwał, ale nie było to dotkliwe pobicie. Nie miał nawet widocznych śladów na ciele. Klawisz pilnujący chlewiarzy niczego nie widział, a reszta towarzystwa zachowała zasadę trzech małych. Parę razy zdarzyło mu się, nie przez przypadek, wpaść do gnojówki, a nowe wdzianko zaczęło cuchnąć nie do wytrzymania. Przyznam się wam szczerze, że jak na zbawienie czekałem, aż nastanie kolejna niedziela, kiedy przyjedzie na odwiedziny Anna Czarnecka i przywiezie mężowi nową odzież.

Nie mam sobie niczego do zarzucenia. Tam gdzie mogłem go ochronić, roztaczałem nad nim parasol bezpieczeństwa. Pewnego dnia, kiedy miał już chyba serdecznie dość chłopaków, którzy zrobili sobie z niego oborowe popychadło, zapytał mnie:

– Możesz mi jakoś pomóc i sprawić, żeby ci ludzie przestali mnie nękać? – Był załamany. Dało się to zauważyć gołym okiem.

Usiadłem na pryczy, oparłem się o ścianę i powiedziałem:

– Widzisz, Profesorze, w takim miejscu jak to wszelkie konflikty rozwiązuje się na dwa sposoby. Albo za pomocą siły, albo za sprawą przekupstwa. Pieniądze i fajki to dwie waluty, które obowiązują w więziennej rzeczywistości. Pozyskać klawisza, żeby roztoczył nad tobą opiekę, nie jest łatwo, trzeba wiedzieć, z kim można rozmawiać. Na twoim miejscu odpuściłbym sobie współpracę ze strażnikami. Odkąd mamy nowego naczelnika, wszystko się skomplikowało. Zalewski twardą ręką rozprawia się z każdym objawem korupcji zarówno wśród pracowników, jak i osadzonych. Wydaje mi się, że wy, cywile – wiedział, iż mam na myśli kategorię takich samych aresztantów jak on – podlegacie tym samym zasadom co skazańcy. Jeśli wpadniesz, możesz mi wierzyć na słowo, będziesz miał poważne kłopoty. Tak więc daruj sobie to rozwiązanie. Jeżeli będziesz miał forszę, to pogadamy z Suchym, a

on załatwi resztę. Tylko uważaj – kiwnąłem palcem, jakbym chciał mu uzmysłowić, żeby przemyślał sprawę – bo jeśli znajdą przy tobie pieniądze, napytasz sobie nie lada biedy.

W roku 1926 rocznica moich urodzin przypadła w niedzielę. To był ciepły, pogodny dzień. Taki dzień, o którym śmiało można powiedzieć, że godnie reprezentuje polską złotą jesień. Korony drzew spoglądające na spaceriak z drugiej strony muru mieniły się paletą magicznych barw. Promienie październikowego słońca otulały świat przyjemnym spokojem i rozgrzaną radością. Na tle błękitnego nieba ptaki szybowały z rozpostartymi skrzydłami. Podziwiałem ich swobodę, z jaką dawały się nieść niewidzialnym podmuchom wiatru. Sylwetki tych stworzeń, które natura uczyniła podniebnymi lotnikami, zawsze kojarzyły mi się z nieograniczoną wolnością.

Dość często w swoim życiu myślałem o tym, że chciałbym być ptakiem.

Starym zwyczajem zajęliśmy nasze stanowisko na stopniach placu apelowego.

Piotruś Jąkała gryzmolił grafitowym rysikiem po wymiętolonej kartce. Tuż obok siedział Profesor ze splecionymi rękami jak do modlitwy i patrzył zamyślonym wzrokiem na wprost. Rozpiąłem guziki szarej bluzy, wyciągnąłem przed siebie nogi i zerknąłem na Suchego, który ulokował się za naszymi plecami. Leżał na wznak z zamkniętymi oczami.

– To co, Suchy, po całym? – zapytałem i wyciągnąłem w jego kierunku otwartą papierośnicę.

– Ależ oczywiście. – Od razu przekręcił się na prawy bok i sięgnął po fajkę. – Darmowy to i ocet słodki – rzucił w moim kierunku. – Częstość mnie, brachu, ile wejdzie. Mam do ciebie słabość i nie potrafię ci odmówić. Choćby miało mnie zrzygać i zesrać na rzadko, to dam radę.

– Nie wątpię. – odparłem. Dostrzegłem, jak Czarnecki po słowach Suchego uśmiechnął się pod nosem.

W tym samym momencie w mojej głowie pojawiły się dziwne pytania. Gdyby Profesor usłyszał te słowa pół roku temu, to również czułby się nieco rozbawiony? Czy ktoś, taki jak on, mógł być entuzjastą prostackich odzywek i grubiańskiego humoru? Czy człowiek, który większość życia spędził wśród intelektualistów i naukowców, bywał na salonach i w uniwersyteckich aulach, ubawiłby się, słysząc takie słowa na jakimś wytwornym raucie z kawiozem w porcelanowych miseczkach i szampanem w kryształowych kieliszkach? Szczerze wątpię, żeby uznał to za przedni dowcip, raczej oceniłby go w kategoriach skandalicznej żenady, przyznając mu najwyższą liczbę punktów. Nieco wiem już o ludzkich zachowaniach i przemianach, jakim ulegają dusza i umysł osadzonego człowieka. Nie studiowałem psychologii z mądrych podręczników i naukowych opracowań. Nie znam zbyt wielu nazwisk, które w tej dziedzinie są autorytetami. Swoją wiedzę zdobywałem na więziennych korytarzach, kontemplowałem w karczerze, obserwacje czyniłem na spacerniku, a poglądy konfrontowałem z przedstawicielami służby więziennej. Moje wszystkie teorie na ten temat są podparte życiem skazańców i ich bolesnymi doświadczeniami.

Jedno było pewne, środowisko zmieniało naszego Profesora.

Lekkie podmuchy wiatru porywały w przestrzeń kłęby dymu, które ulatniały się z naszych płuc. W pewnym momencie Suchy ścisnął palcami nozdrza i powiedział nosowym głosem:

– Profesorku, mam nadzieję, że dzisiaj zmienisz garderobę – szukał motywu, żeby zapewnić sobie ulubioną rozrywkę.

– A co, przypomniał ci się zapach dzieciństwa? – zadrwiłem.

– Gdyby nie ten darmowy papierosek – Suchy cisnął w odpowiedzi – to inaczej bym z tobą pogadał... Ropuszku! – Facet nigdy nie odpuszczał, nigdy nie pozwolił, żeby ostatnie słowo należało do kogoś innego.

Biegański podał Czarneckiemu kartkę papieru. Ten przez chwilę czytał zapisane słowa, a potem zaczął mu opowiadać językiem pełnym terminów, których do końca nie pojmowałem. Mówił o aspektach teorii jednego z bogów filozofii, Platonie. Suchy od czasu do czasu przerywał Profesorowi uszczypliwymi komentarzami, którym towarzyszyły nasze krótkie salwy śmiechu. Czarnecki jednak nie zrażał się prymitywnymi docinkami. Rozgadał się na dobre i z jego ust płynął niekończący się potok słów.

Przyglądałem się postaciom krążącym po spacerniaku. Ludzi w cywilnych ciuszkach było już zdecydowanie mniej. Po prawej stronie, wzdłuż siatki dreptał spokojnym krokiem Wilhelm Wolf. Ręce trzymał w kieszeniach spodni i przechadzał się w tę i z powrotem. Jak zawsze sprawiał wrażenie człowieka, który był tutaj tylko ciałem. Po przeciwnej stronie dostrzegłem Tadzia Wójcika. Siostrzyczka miała rację, zarówno on, jak i Piotruś z pewnością dostaliby od ręki robotę w cyrku osobliwości... Nieco z lewej dozorca Frantz rozmawiał przez siatkę z małym młodziakiem z bloku C. Po przeciwnej stronie placu apelowego, na ławkach, które swojego czasu okupowała ekipa Czarnekiego, skupiła się grupa kilku aresztantów. Lustrowałem teren i doszedłem do wniosku, że bardzo, ale to bardzo, zmieniło się oblicze spacerniaka przez ostatnich kilka miesięcy. Nagle od strony wyjścia klawisz zaczął przywoływać Czarneckiego na widzenie. Profesor podniósł się z miejsca.

– Tylko pamiętaj, co ci mówiłem! – rzuciłem w jego stronę, nim zdążył odejść.

Obrócił twarz w moim kierunku i pokiwał głową, dając mi do zrozumienia, że będzie miał na uwadze moje przestrogi.

– O co chodzi? – zapytał Suchy z nieukrywanym zaciekawieniem, kiedy Czarnecki się oddalił.

– O to, żebyś mógł zarobić – odparłem.

Suchy natychmiast poderwał się z miejsca i usiadł obok mnie.

– Nawijaj! – syknął.

Zerknąłem na Piotrusia Jąkałę. Był bystry i w mig pojął, że mamy do obgadania jakiś interes, i chyba nie powinno go tutaj być.

– Tooo-ooo się przeeee-eej-deeę – wydukał i zostawił nas samych.

W kilku słowach opowiedziałem Suchemu o co chodzi.

– Profesor wróci dzisiaj ze szmałem – zakończyłem słowami, które brałem za pewnik.

– No to co, pora ruszać. Nie ma sensu, żebym tak siedział beczynn timer i dłu bał w nosie, kiedy forsa jest już w drodze – powiedział Suchy. – Przejdę się i popytam. I żeby było jasne niczego jeszcze nie ustal am – zastrzegł się. – Wybadam temat i

sprawdzą, czy jest dobry grunt pod rozmowę. – Wstał, zacisnął mocniej pasek w spodniach, posłał mi oko i ruszył w tłum.

Było kilka minut po trzynastej, kiedy od strony wyjścia strażnik krzyknął donośnym głosem:

– Żabikowski, odwiedziny!

W pierwszej chwili byłem pewien, że się przesłyszałem. Błądziłem gdzieś myślami, robiąc rachunek sumienia mojego dwudziestosześcioletniego życia i dopiero kiedy po raz drugi padło moje nazwisko, poderwałem się na równe nogi.

Prawie biegiem pognałem w stronę wyjścia. Dwa razy padło słowo „odwiedziny”, więc byłem pewien, że nie jest to wezwanie do gabinetu Szumskiego.

Agnieszka?! Nikt inny nie mógł mnie już odwiedzić. To musi być ona! Serce wściekle zadudniło mi w piersiach. Szybki marsz przez spaceriak do bramki i myśl o odwiedzinach sprawiły, że tętno pulsowało mi ze zdwojoną siłą. W pachwinach rozlała się ciepła wilgoć, a krople potu zrosiły moje skronie.

Dozorca spokojnym krokiem prowadził mnie do sali widzeń.

Eksplozja przedziwnych uczuć rozrywała mi duszę.

A jednak przyszła, tak jak rok temu! Pamiętała! Boże miłosierny! Nie wiedziałem, czy chcę tam iść. No bo i po co? Znowu mam zderzyć się ze światem, który przepadł dawno temu? W jakim celu?

Szok.

Ta chwila była właśnie tą, która pozwoliła mi zrozumieć prawdziwe znaczenie tego słowa.

Szliśmy schodami w górę. Chłód panujący na korytarzu studził nadmiar emocji, które we mnie kipiały.

Klawisz uchylił masywne drzwi.

W obszernym pomieszczeniu przy wielu stolikach siedzieli zarówno skazańcy, jak i aresztanci ze swoimi najbliższymi. Szukałem wzrokiem znajomej postaci.

Dozorca, który mnie wprowadził, powiedział donośnym głosem:

– Żabikowski!

W rogu sali dostrzegłem nieznaną kobietę z podniesioną do góry ręką.

– Tam siedzi osoba, która przyszła cię odwiedzić. – Strażnik wskazał w jej kierunku.

Stanąłem jak wryty. Nie znałem tej kobiety. Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

– Tam mam iść? Ona przyszła do mnie?

– A kto trzyma rękę w górze? Ja czy ona? – warknął. – Nie znasz jej? – zdziwił się.

– Nie – odparłem.

Chyba coś było nie tak, bo pchnął mnie lekko do przodu i razem ze mną ruszył w jej kierunku.

Podeszliśmy do stolika, przy którym siedziała kobieta.

Nigdy w życiu jej nie widziałem. Miała lekko zmierzwione włosy, zmęczone spojrzenie i trochę niechlujne ubranie. Nie było w niej niczego szczególnego.

– Pani przyszła w odwiedziny do więźnia Żabikowskiego? – zapytał dozorca.

– Tak. – Jej głos był nieco ochryply, jakby ona i Końska miały z sobą coś wspólnego.

Usiadłem na krześle po przeciwnej stronie i przyglądałem się jej zaskoczonym wzrokiem. Strażnik odszedł dwa metry dalej i obserwował nas.

W sali odwiedzin panował szum. Głosy mieszały się ze sobą jak na ulicznym targowisku.

Kobieta przez dłuższą chwilę wpatrywała się we mnie przenikliwym wzrokiem. W jej spojrzeniu było coś niepokojącego.

– Nie znasz mnie – odezwała się – ale ja znam ciebie. Przez ostatnie miesiące każdego dnia słyszałam twoje nazwisko. To wszystko twoja wina! – Ton jej głosu stał się mocniejszy, a oczy zaszkliły się od łez. Nie panowała nad sobą i w tej samej chwili bezbarwne grochy zaczęły spływać po jej policzkach. Byłem tak oszołomiony, że nie potrafiłem wydobyć z siebie nawet słowa. – To wszystko przez ciebie! – padło kolejne dziwne oskarżenie. Trzymając dłonie na stole, splotła palce tak mocno, że ich skóra w jednej chwili zrobiła się sinobordowa. – To wszystko przez ciebie, ty pierdolony skurwysynu! – krzyknęła. Nie zwróciłem uwagi, jak zareagowała reszta towarzystwa zgromadzona w sali odwiedzin, ale przypuszczam, że wszyscy nagle zamilkli i spoglądali w naszym kierunku. Kątem oka dostrzegłem, jak strażnik oplata dłoń na rękojeści pałki i rusza w naszą stronę. Sparaliżowało mnie kompletne zaskoczenie. Nie zdążyłem zareagować, kiedy nieznajoma poderwała się na równe nogi, pochyliła nad stołem, wzięła potężny zamach i prawą dłonią uderzyła mnie w policzek.

Zabolało.

– Niech się pani uspokoi! – Strażnik doskoczył w jej kierunku i pchnął na ścianę.

– To on! To wszystko, kurwa, przez niego! – wydzierała się niczym oszalała wiedźma, a ja nadal siedziałem na miejscu i nie rozumiałem, o co właściwie chodzi.

– Proszę się uspokoić! – krzyknął dozorca, złapał ją za ramiona i przyparł do ściany.

Zrobiło się małe zamieszanie. Usłyszałem, jak za moimi plecami rozległ się tupot nóg. Nagle z lewej strony pojawiło się dwóch kolejnych klawiszów, którzy doskoczyli do swojego kolegi i pomagali mu uspokoić rozhisteryzowaną kobietę.

– Pamiętasz Heńka Duszańskiego?! Wołali na niego Hrabia, to ty go zniszczyłeś! Ty parszywy chuju! – skrzeczała z całych sił.

Strażnicy nie byli w stanie nad nią zapanować.

Wyrywała się, kopała, odpychała.

Walczyła.

– Niech się pani uspokoi! – zabrzmiał donośny głos jednego z dozorców.

– Spierdalajcie, gnoje! To wszystko przez niego! To on go zniszczył! On! – Zaczęła pluć w moją stronę. Zrobiłem dwa kroki w tył, jakbym chciał usunąć się z drogi zaszczutego zwierzęcia, i poczułem, jak czyjeś ręce oplatają mnie na wysokości piersi. Dostrzegłem brązowe rękawy i nie stawiałem żadnego oporu. – On się powiesił przez ciebie, to ty osierociłeś jego dzieci! – W sali odwiedzin zaległa cisza. Kobieta przestała się szarpać. Na kilka sekund nawet strażnicy zamarli w zaklętym bezruchu. – Proszę mnie natychmiast puścić! – powiedziała nerwowo i spojrzała



hardo na funkcjonariuszy, którzy ją osaczyli. – Proszę mnie puścić!

– Koniec odwiedzin! – syknął jej prosto w twarz jeden ze strażników.

– Zabieramy ją stąd! – powiedział najwyższy rangą do swoich kompanów i przystąpili do dzieła.

– Żabikowski, ty pierdolony chuju, to przez ciebie moje dzieci nie mają ojca! – wrzeszczała zachrypniętym głosem. Kiedy dozorca starali się doprowadzić ją do drzwi, stawiała zaciekły opór. Mundurowi chyba ulegli tym samym emocjom, bo zaczęli wykrzykiwać komendy. Chyba liczyli na to, że w ten sposób zapanują nad nerwową kobietą. Do moich uszu docierał tylko jej złowieszczy głos: – Powiesił się przez ciebie! Ty jesteś winien jego śmierci! Przeklinam cię, ty jebany morderco! Obyś tu zgnił!

Czyjeś ręce chwyciły mnie pod ramiona i brutalnie zaczęły ciągnąć w stronę wyjścia dla więźniów.

– Żabikowski! Co to było, do jasnej cholery?! – Mroczkowski spojrzał na mnie, kiedy znaleźliśmy się za drzwiami. Zdjął z głowy czapkę i przetarł spocone czoło.

– Nie mam pojęcia, panie dozorczo. – W swoim głosie słyszałem przerażenie. Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

– To co z nim teraz? – zapytał drugi z klawiszy.

– Do celi, a potem z meldunkiem do Szumskiego – padła odpowiedź.

Siedziałem na pryczy i próbowałem odzyskać równowagę. Czy to mogło się dzieć naprawdę? Akurat dzisiaj? W dniu moich urodzin? Dlaczego właśnie tego dnia parszywy los postanowił ze mnie zakpić? Takie życie – szept Końskiej rozległ się w moim umyśle. Myślałeś, że wszystko, co złe, odejdzie i nigdy już nie wróci?

Nagle do moich uszu dotarł odgłos prężnych kroków. Dwa uderzenia w drzwi. Poderwałem się i stanąłem pod ścianą tak, jak nakazywał regulamin. Szczęk zasuwki i pióro drzwi rozwarło się na oścież. W świetle wejścia zobaczyłem aspiranta Szumskiego.

Przez dłuższą chwilę stał w lekkim rozkroku i przyglądał się mi badawczym wzrokiem.

Podszedł bliżej i usiadł na taborecie. Plecami wsparł się o ścianę, wyciągnął przed siebie nogi, wyprostował kolana i oparł dolne kończyny o krawędź pryczy. Czarne, wypastowane cholewy mieniły się połyskującym blaskiem.

Szumski sięgnął do górnej kieszeni bluzy i wyjął paczkę papierosów.

Na chwilę zaniósł się paskudnym, mokrym kaszlem i splunął na podłogę.

Kiedy przestał charczeć, zapalił.

– Tak, Żabikowski, a jednak moje podejrzania były słuszne – mówił powoli i wyraźnie. – I co? Jak się teraz czujesz? – Równie dobrze mógł powiedzieć: „Jesteś odpowiedzialny za śmierć Hrabiego”. – Wiedziałem, od samego początku wiedziałem, że maczasz w tym wszystkim swoje cholerne paluchy. Nie wiem, jaki miałeś motyw, i to mnie męczy, ale to kwestia czasu. Obaj wiemy, że to wypłynie na wierzch. Tak to już jest, Żabikowski, że prawda zawsze wychodzi na jaw. – Zaciągnął się głęboko dymem. – Siadaj! – Wskazał mi miejsce na łóżku, tuż obok swoich stóp.

Posłusznie wykonałem polecenie.

– Pal! – Rzucił mi na kolana paczkę papierosów.

Ze wszystkich sił starałem się zapanować nad mimowolnym drzeniem palców. Krew w moich żyłach płynęła nieco szybciej.

– No to jak to w końcu było, Żabikowski? – Czubkiem buta rytmicznie stukał mnie w biodro. – Opowiesz mi tę niewątpliwie ciekawą historię? He? – Ponownie zaniósł się okropnym kaszlem.

Czekałem z odpowiedzią, aż przestanie wydobywać z siebie chorobliwe jęki.

– Nie mam z tym nic wspólnego, panie aspirancie – postanowiłem iść w zaparte, choćby się miał zawalić cały świat. Wyznanie prawdy już niczego nie zmieni, nie cofnie czasu i nie zwróci życia Duszańskiemu. Może tylko sprawić, że moja dalsza egzystencja stanie się bardziej uciążliwa.

– Błagam cię, Żabikowski – prawie jęknął – nie obrażaj mojej inteligencji. A może chcesz mi jeszcze wmówić, że ta baba, która pół godziny temu wydzieraa się na ciebie na sali widzeń, to jakaś cholerna pomyłka? – Przez cały czas czubek jego buta delikatnie uderzał o moje biodro.

– Nie mam z tym nic wspólnego, panie aspirancie. – Nie wiem, czy przyjąłem właściwą linię obrony, ale na każde pytanie o moim udziale postanowiłem odpowiadać w taki właśnie sposób.

– Wiesz, że jeśli tylko zechcę, to mogę cię tutaj odpowiednio zmiękczyć. Wiesz o tym, prawda? – Zdjął nogi z łóżka i pochylił się w moją stronę. – Mogę cię zamknąć na izolacyjnym, mogę cię zapakować do karceru, mogę cię zdjąć z obsady stolarni i rzucić z powrotem na łodygownię – cedził każde słowo. – Moje możliwości są tutaj nieograniczone. A może na początek zmienię ci towarzystwo? – Spojrzał na mnie tym swoim szczerzym wzrokiem i krzyknął: – Strażnik!

Na korytarzu rozległ się odgłos kroków zmierzających w naszym kierunku. Kilka sekund później w drzwiach celi pojawił się dozorca pełniący służbę na sterowni.

– Bierz ten majdan. – Szumski wskazał dłonią na koce i poduszkę leżące w przeciwnym rogu. – Sprawdź, która cela jest wolna i zakwateruj w niej tego... jak mu tam? Czarneckiego? Tak? W dzienniku służby wpisz, że to z mojego polecenia.

– Tak jest, panie aspirancie! – Funkcjonariusz zasalutował i wykonał polecenie.

– No widzisz, Żabikowski, jak szybko poszło. – Szumski westchnął i posłał mi grymas zwycięzcy. – Może potrzebujesz bardziej rozrywkowego kompana? Na bloku C znajdzie się kilku prawdziwych sodomitów, co nie pogardzą żadną dziurką – rzekł z obrzydzeniem. – To co, zamienimy twoją celę w ogród rozkoszy?

– Wolałby, żeby tak się nie stało, panie aspirancie. – Czuję, jak niewidzialne palce zaciskają się na mojej grdyce.

– A ja wolałbym usłyszeć z twoich ust, jakie miałeś motywacje we wiadomej sprawie. – Przyglądał mi się z odległości około dwudziestu centymetrów. Ciepły oddech wydobywający się z jego ust uderzał w moje nozdrza niesmacznym odorem tytoniu. – No, słucham, Żabikowski, opowiadaj.

– Nie mam z tym nic wspólnego... – nie zdążyłem dokończyć. Szumski posłał mi cios pięścią prosto w brzuch.

– Jeszcze raz, Żabikowski – warknął. – Zaczynaj od początku!

Oddychałem głęboko, a w trzewiach czułem ognistą kulę.

– Nie mam z tym... – Kolejne uderzenie, jeszcze bardziej bolesne.

– Jeśli znowu zaczniesz od słów „nie mam”, to gwarantuję, że zapamiętasz ten dzień do końca życia! – syknął mi prosto w twarz.

Przez moją głowę toczyła się lawina myśli. Nigdy bym nie przypuszczał, że moja cała podła przeszłość powróci w takim wydaniu.

– Słucham, Żabikowski, odkrywaj karty! – warknął i znowu jego pięść spotkała się moim brzuchem.

Milczałem niczym głaz. Postanowiłem nie odzywać się ani słówkiem. Przyjąłem kilka kolejnych ciosów, ale coś było nie tak. Szumski nie tłukł mnie pałką ani nie bił w miejsca, które mogą zostawić widoczne ślady. Poza tym wydawało mi się, że każdy następny kuksaniec jest zdecydowanie słabszy od poprzedniego. Po kilku uderzeniach aspirant chyba zrozumiał, że w ten sposób nic ze mnie nie wydusi. Opuścił.

– Niebawem wezmę się za ciebie i zapewniam, że gorzko tego pożałujesz. – Wstał i z nieukrywaną złością trącił taboret czubkiem buta. Wychodząc z celi, zachwiał się. Na moment wsparł dłoń o futrynę drzwi, pochylił ciało lekko do przodu i wtedy dopadł go kolejny krótki atak kaszlu.

Kilka minut trwało, nim poczułem się całkiem normalnie. Nabrałem pewności, że samowola klawiszy została definitywnie ukrócona. Coś musiało się zmienić. I to bardzo. To już nie były czasy Wojciechowskiego, kiedy każdy strażnik robił, co chciał lub co uważał za słuszne. Teraz najwyraźniej funkcjonariusze działali pod dyktando nowego naczelnika, który ograniczył im swobodę.

W więzieniu wszelkie wiadomości rozchodzą się błyskawicznie. Podczas kolacji wszyscy osadzeni plotkowali o tym, co zdarzyło się w sali widzeń, i miałem wrażenie, że jestem na ustach każdego skazańca. Gdziekolwiek spojrziałem, wpadałem na czyjś zaciekawiony wzrok. Niewątpliwie byłem gwiazdą dzisiejszego wieczoru.

– Dlaczego mnie przeniesiono do pojedynczej celi? – zapytał Profesor.

– Ano chyba dlatego – odparł Suchy – że tutaj są same pojedyncze apartamenty. – Spojrzał w moim kierunku i posłał mi oczko. On też już słyszał o całej akcji.

– A cóż to była za kobieta...

– Profesorze – wpadłem mu w zdanie – masz swoje problemy i najlepiej zrobisz, jak zajmiesz się właśnie nimi – powiedziałem chłodno i dałem mu do zrozumienia, że nie będziemy rozmawiać o tym, co się zdarzyło kilka godzin temu.

Ciemna, październikowa noc zakradła się do mojej celi, a ja nadal leżałem na pryczy i nie mogłem zasnąć. Wspomnienia zdarzeń sprzed kilku miesięcy wypełniały moją głowę. Myśląc o tym, czułem się tak, jakbym miał przed oczami wyobraźni życie innego człowieka. Nie, to nie mogłem być ja. Przecież ja nie zdobyłbym się na takie okrucieństwo, ja nie byłem tak naiwnie głupi i mściwy.

Nie ja.

Przekręcałem się z boku na bok, lecz sen nie nadchodził.

Kolejny papieros.

Myśli bezustannie krążyły wokół podłej przeszłości.

Zegar na wieży odmierzał czas, wybijając kolejne kwadransy.

Okolo północy światło księżyca zaczęło przeciskać się przez okratowane okno mojej celi. Na obdrapanej ścianie przesuwiał się cień prętów. Byłem uwięziony w dwóch światach. Ten pierwszy – rzeczywisty, namacalny i niezmienny, którego mury wzniesiono z bordowej cegły. Drugi natomiast budził się do życia tylko w blasku luny. Zawsze pojawiał się w najbardziej parszywym momencie, zawsze wtedy, kiedy wszystko traciło sens. Złamany cień okna padał po części na stół, na podłogę i na ścianę.

I widzisz, co narobiłeś? – dręczyła Końska mój zmęczony umysł. Odebrał sobie życie, ciekawe dlaczego, prawda? Chciałbyś wiedzieć. Tak wiele pytań i żadnej odpowiedzi. Powiesił się. Wybrał sznur czy pasek?

Zacisnąłem powieki, jakbym chciał w ten sposób zamknąć Końskiej usta.

Nie pomogło.

Został tu upodlony, dobrze o tym wiesz. A to jest jak piętno, którego człowiek nigdy się nie pozbędzie. Nie poradził sobie z tym ciężarem. Skończył ze sobą. O tak, ona miała rację. Jak jej było na imię? Krystyna? Niestety jesteś odpowiedzialny za jego śmierć, ty i tylko ty... tylko ty... tylko ty – echo niosło przez moją głowę oskarżające słowa.

Poderwałem się na równe nogi, żeby ochłonać. Już sam nie wiedziałem, czy te majaki pojawiają się, kiedy trwam zawieszony w letargu pomiędzy jawą a snem? Czy to naprawdę jest tak, jak powiadają, że kiedy rozum śpi, budzą się potwory?

Stałem w oknie i spojrzałem w noc.

Wokół tarczy księżyca jawiła się lekko zamglona poświata.

Wszędzie cisza otulona mrokiem.

Pełna, absolutna cisza.

– Jestem winien – szepnąłem sam do siebie.

Tej nocy zrozumiałem, o czym kiedyś mówił Ojczulek: „Cokolwiek się stanie, później będziesz musiał z tym żyć”.

Staruszek miał rację.

Aspirant Szumski w stosunku do mnie nie zrealizował żadnej obietnicy. Nadal pracowałem w stolarni i dalej byłem zakwaterowany na bloku B, chociaż przyznam się wam, że przez wiele dni żyłem w nerwowym wyczekiwaniu.

Profesor ogarnął temat pieniędzy i dobił targu z Suchym. Nie wnikałem w tę sprawę, ale przypuszczam, że do kieszeni Suchego trafiła pokaźna sumka. On zawsze twierdził, że w interesach nie ma kumpli i skrupułów. W gruncie rzeczy Suchy nie trafił na biednego, a liczyło się to, że każda ze stron była zadowolona.

Po raz kolejny przekonałem się, że moc, jaka drzemie w plotce, potrafi być niewyobrażalna. Kiedyś budziłem respekt u innych, bo należałem do ferajny, teraz niektórzy z więźniów zaczęli się mnie obawiać z zupełnie innego powodu. W tamtych czasach człowiek bezwzględny, morderca gotowy w każdej chwili przyjąć

zlecenie za pieniądze był potocznie nazywany cynglem.

Kiedy następnej niedzieli krążyłem samotnie po spacerniaku, do moich uszu dotarł strzępek pewnej rozmowy:

– Mówię wam, ten Ropuch to cyngiel. Nawet nikt nie wie, za co on właściwie siedzi. Ten facet to cholerny cyngiel. – Skazaniec, który to powiedział, był odwrócony do mnie plecami.

Zatrzymałem się i klepnąłem go w ramię. Kiedy się obrócił i ujrzał mnie, jego twarz momentalnie zrobiła się blada.

– Wolałbym, żebyś tak o mnie nie mówił. – Posłałem mu krótkie spojrzenie i ruszyłem przed siebie.

W jednej chwili powróciły niebezpieczne znajome uczucia. Strach działa w dwie strony, jednych poraża i obozwładnia, a drugim dodaje sił. Problem w tym, że zawsze może pojawić się ktoś, kto będzie chciał wszystkim udowodnić coś głupiego. Może to śmieszne, ale tego się właśnie obawiałem. Wystarczyło też, że spojrzałem na Rzeźnika z Danzig, a już miałem ciarki na plecach. Zawsze twierdziłem, że Wilhelm Wolf ma ponurą misję do zrealizowania. A co będzie, jeśli chłop ubzdura sobie, że ja też jestem ten zły i niegodziwy? I dlaczego czasami tak dziwnie na mnie patrzy?

W więzieniu bardzo szybko można zyskać złą sławę.

Z początkiem listopada dowiedziałem się, że Szumski zapadł na jakąś poważną dolegliwość płuc i kroił mu się dłuższy wyjazd do górskiego sanatorium. Wiem, to zabrzmi podle, ale miałem nadzieję, że już więcej moje oczy nie ujrzą tego bydlaka.

Pewnego dnia, grubo przed południem w drzwiach stolarni pojawił się dozorca Frantz.

– Żabikowski! – krzyknął w moim kierunku. – Zbieraj się, idziemy!

– Tak jest, panie dozorczo. – Zarzuciłem na grzbiet kufajkę. – Mam zabrać z sobą narzędzia? – zapytałem.

– Nie, jesteś wzywany na rozmowę do gabinetu Szumskiego.

Kiedy usłyszałem te słowa, w każdym zakamarku mojego ciała eksplodowało nieprzyjemne ciepło.

Podczas drogi zachodziłem w głowę, co takiego wymyślił mój ulubiony aspirant?

Strażnik zapukał w drzwi, złapał za klamkę i puścił mnie przodem.

Za biurkiem Szumskiego siedział sam naczelnik Zalewski, po mojej lewej, nieco z przodu stał przodownik Blaszański.

Frantz strzelił obcasami, zaszalutował i wypowiedział jednym tchem:

– Melduję doprowadzenie więźnia numer dwadzieścia dziewięć-jedenastcie!

Mój wzrok przykuła patka kołnierza na mundurze Zalewskiego. Pierwszy raz widziałem insygnia w postaci pętelki. Kilka razy słyszałem, jak naczelnika nazywano inspektorem, ale myślałem, że to oznaka jakiejś kpiny lub szyderstwa. Prawda jednak była taka, że Zalewski miał naprawdę rangę inspektora służby więziennej, o czym dowiedziałem się później.

Jeśli chcielibyście porównać ów stopień do wojskowej szarży, to jego

odpowiednikiem byłby wtedy generał.

– Jak się nazywasz? – rzucił w moim kierunku naczelnik.

– Stanisław Żabikowski! – odparłem.

Na blacie biurka spoczywało kilka pootwieranych kopert.

Leżały równiutko poukładane w jednym rzędzie.

Zalewski pochylił się do przodu i przeskakiwał po nich wzrokiem. Po chwili wyciągnął dwie koperty.

– Wyjaśnij mi najpierw pewną formalną rzecz – zwrócił się do mnie, machając na przemian delikatnie dłońmi, w których trzymał otwarte koperty. – W ewidencji więzienia figuruje tylko jedna osoba o nazwisku Żabikowski. Stanisław Żabikowski. A tutaj mam dwa listy, jeden adresowany do Stanisława Żabikowskiego, a drugi do Stefana Żabikowskiego. – Znowu machnął kopertami i przyjrzał mi się podejrzliwym wzrokiem. – Używasz dwóch różnych imion? Dlaczego?

– Na chrzcie rodzice dali mi Stefan – odparłem zgodnie z prawdą. – W mojej metryce urodzenia urzędnik przez pomyłkę wpisał imię Stanisław. Rodzice byli niepiśmienni, wzięli dokument i dopiero po latach wyszło na to, że w spisie ludności nazywam się Stanisław, a nie Stefan, chociaż tak wołano na mnie przez całe życie.

– Wystarczy – naczelnik z dziwnym grymasem, ni to politowania, ni to żenady, spojrzał najpierw na Blasza, potem na Frantza, a w końcu na mnie. Jego wzrok mówił wszystko na temat krótkiej genezy moich imion. – Aspirant Szumski obecnie przebywa na długoterminowym zwolnieniu lekarskim. Na ten czas jego obowiązki przejmuje przodownik Józef Blasza. – Wskazał dłonią w jego kierunku. – W szufladzie biurka pana aspiranta spoczywały listy, również adresowane do ciebie. Pierwszy z nich... – Zalewski przez chwilę oglądał służbową pieczęć, którą sygnowano wszystkie listy docierające do Centralnego Więzienia we Wronkach. W dniu otrzymania poczty oficer dyżurny pełniący służbę podbijał taki list i ręcznie wpisywał obok dokładną datę przybycia. – Pierwszy list dotarł tutaj we wrześniu, drugi w październiku – poinformował mnie naczelnik. Przez chwilę przyglądał mi się uważnie i nagle zmienił temat: – Dlaczego Aspirant Szumski nie przekazał ci tych listów?

– Nie wiem, panie naczelniku – odparłem zgodnie z prawdą.

– Przejrzałem dokumenty, wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku. Może zdenerwowałaś czymś pana aspiranta? A może macie między sobą jakieś prywatne porachunki? – spytał podejrzliwie.

Kątem oka dostrzegłem, że Blacha przygląda mi się czujnym wzrokiem.

Zerknąłem w kierunku biurka i zrozumiałem, że nie tylko ja byłem gnębiony przez Szumskiego. Szkoda, że nie znałem nazwisk innych. Razem moglibyśmy pogrążyć człowieka, który uprzykrzał nam życie. Samemu w pojedynkę porywać się na coś takiego byłoby szczytem głupoty albo objawem szaleństwa, a już tym bardziej w obecności innych klawiszy. Gdybym teraz rozmawiał z Zalewskim w cztery oczy, kto wie jakie słowa mogłyby paść z moich ust?

A może to wszystko jest tylko kolejnym elementem podstępnej gry?

Być skazańcem, dociekać swoich praw, skarżyć się na złe traktowanie i szukać wsparcia u władz instytucji, w której przebywasz, może świadczyć tylko o tym, że kompletnie straciłeś kontakt z rzeczywistością. W tym wypadku strażnicy niczym nie

różnią się od więźniów. Nazwą cię donosicielem, nie zapomną, nie podarują i będą się mścić. Dlatego właśnie w takim miejscu jak to dewiza trzech małych najczęściej bywa jedynym sensownym rozwiązaniem.

– Nie wiem, panie naczelniku, dlaczego nie otrzymałem tych listów – odparłem.

Pokiwał głową i spojrzał na Blaszańskiego.

– Jakies uwagi, pytania, zalecenia...? – zwrócił się do przodownika.

– Żadnych, panie naczelniku – odpowiedział klawisz, który od chwili mojego przybycia trwał w tej samej pozycji. Stał w lekkim rozkroku, a dłonie trzymał z tyłu ciała.

Zalewski przeniósł wzrok z Blaszańskiego na mnie i przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, po czym rzekł:

– Proszę – i wyciągnął w moim kierunku dłoń, w której spoczywały dwie koperty o poszarpanych krawędziach – adresowane do ciebie.

Gdy Frantz odprowadzał mnie do stolarni, stało coś dziwnego. Czas zwolnił, a przestrzeń zaczęła się rozciągać. Jestem tego pewien. Odległość pomiędzy gabinetem Szumskiego a warsztatem nagle wydała się niewyobrażalnie długa.

Listy włożyłem do wewnętrznej kieszeni kufajki. Nie wiem, kto był nadawcą, po prostu wziąłem je i wcisnąłem do kieszeni.

Byłem podekscytowany. Miałem wrażenie, że jeszcze chwila, a serce wyskoczy mi z piersi. Dudniło i waliło, jakby wiedziało, że od papierowych kopert dzieli je tylko kilka centymetrów. Już chciałem je czytać, ale byliśmy na korytarzach bloku B. Nim doszliśmy do głównego wyjścia, czułem się tak, jakbym biegiem pokonał w rekordowym czasie jakąś morderczą odległość. Listopadowy chłód ostudził nieco moje rozpalone skronie.

Miałem ochotę pokazać Frantzowi, co znaczy maszerować prężnym krokiem.

Szliśmy wzdłuż ogrodzenia spacerniaka. W oddali widziałem brązowe drzwi wejściowe do stolarni i miałem wrażenie, że nigdy tam nie dotrzemy.

Usiadłem na taborecie nieopodal stojaka z deskami. Tu byłem w miarę ukryty. Z dala od Jaśkowych oczu i wejścia do warsztatu. Nie chciałem, żeby ktokolwiek mi przeszkodził.

Zapaliłem papierosa i wyjąłem listy.

Obie koperty były rozdarte w ordynarny sposób. I zrobił to ktoś, kto w świetle prawa mógł brutalnie gwałcić tajemnicę korespondencji.

Było tak, jak mówił naczelnik. Dwa listy, dwa różne imiona i jedno nazwisko.

Któż napisał do Stefana Żabikowskiego? – pomyślałem. Obróciłem kopertę. Z tyłu widniał nadawca. Kiedy ujrzałem precyzję, z jaką skreślono każdą literę, uśmiechnąłem się pod nosem. Eryk von Gerswalde nie zapomniwał o swoim kumplu. Jego list dotarł tutaj w pierwszych dniach września, tak przynajmniej wynikało z daty, która znajdowała się tuż obok czerwonego stempla.

Zerknąłem na drugą kopertę. Była zaadresowana do Stanisława Żabikowskiego. Data dostarczenia do więzienia – jedenasty października. Rzut oka na nadawcę wyjaśniał wszystko.

– Agnieszka Stokłosa – wyszeptalem bezwiednie jej imię i nazwisko.

Gdzieś w środku mnie coś puchło i rosło, i było pełne gorzkiego żalu. Obróciłem kopertę i nie potrafiłem dostrzec ani liter ani wizerunku na znaczku. Poczułem tylko, jak z moich oczu zaczynają się wylewać łzy. Przestań się mazgać! – wrzasnąłem w myślach i natychmiast przetarłem rękawem wilgotne oczy. Kantem bluzy zawadziłem o usta i na czubku języka poczułem słony smak łez.

Takie właśnie było moje życie.

Słone.

W pośpiechu przeczytałem oba listy, chociaż stolarnia zupełnie nie była odpowiednim miejscem na ich lekturę. Miałem dziwne obawy, że jeśli któryś z klawiszy zastanie mnie z oczami wlepionymi w kartki, to jeszcze narobi mi kłopotów.

Siedziałem na pryczy i po raz kolejny czytałem słowa zapisane na papierze. Ten sam list, ta sama treść, a we mnie za każdym razem budziły się inne uczucia. Litery skreślone granatowym atramentem sprawiły, że wspomnienia z przeszłości eksplodowały, rozszarpując mi duszę i umysł. Nie potrafiłem nad tym zapanować, a z drugiej strony nawet nie miałem zamiaru tego powstrzymać. Dałem się ponieść. Pozwoliłem, żeby te wszystkie magiczne, kolorowe chwile wracały i rozkwitały na nowo. Kolejne czytanie, a wraz z nim nowe emocje i wrażenia. Silne i intensywne. Świat, który mnie otaczał, rozplątał się. Cela, jej obdrapane ściany i kraty w oknie jakby przestały istnieć...

4 września 1926

*Witaj!*

*Na początku pragnę Cię serdecznie pozdrowić i uściskać. Mam nadzieję, że zastaję Cię w dobrym zdrowiu i ufam, że mój list dojdzie na czas.*

*To trochę trudne zacząć pisać, kiedy ma się tak wiele rzeczy do opowiedzenia.*

*Może zacznę od siebie. Jeśli czytasz te słowa, to już wiesz, że jestem po drugiej stronie świata. Od pierwszych dni maja mieszkamy razem z mężem i naszą córeczką Małgosią w Chicago. Gosia urodziła się dwunastego grudnia.*

*Jest tutaj bardzo dużo Polaków. W naszej dzielnicy, która nazywa się Polish Village, a i tak wszyscy mówią na nią Jackowo, rozmawia się tylko po polsku. Dlatego Jackowo, że jest tutaj parafia pod wezwaniem Świętego Jacka. Z sąsiadami żyjemy w przyjaźni. Czasami sobie pomagamy w jakiś drobnych sprawach i niekiedy wspólnie spędzamy czas. Chicago to olbrzymie miasto. Wiedzie nam się całkiem dobrze. Andrzej pracuje w fabryce, a ja zajmuję się córeczką i domem. W zeszłym miesiącu kupiłam używaną maszynę do szycia i dorabiam jako krawcowa. Pamiętasz, jak kiedyś mówiłam, że chciałabym mieć swoją prywatę? Może pewnego dnia spełni się moje marzenie? Ciągle tylko słyszę, że Ameryka to kraj wielkich możliwości.*

*Dzisiaj jest sobota czwarty września.*

*Pamiętasz ten dzień? Pamiętasz nasz czwarty września? Pamiętasz tę niedzielę?*



*Nie potrafię zapomnieć, wybacz mi, ale ja po prostu nie potrafię. Cierpiałam trzy długie lata, zanim udało mi się Ciebie odnaleźć. Potem to nasze spotkanie w tym koszmarnym miejscu. Kiedy wracałam do domu, obiecałam sobie, że lepiej będzie, jeśli nigdy więcej się z Tobą nie skontaktuję.*

*Trzymałam się dzielnie, aż do dzisiaj.*

*Wiem, że nigdy nie pozbędę się wspomnień. Próbowałam wiele razy, ale nie umiem.*

*W przyszłym miesiącu wypadają Twoje dwudzieste szóste urodziny. Wiesz, że zawsze życzylam Ci jak najlepiej. Zawsze i na zawsze. Tak było, jest i będzie. Obyś trwał w dobrym zdrowiu, a miłosierny Bóg niech ma Ciebie w opiece.*

*Będę wypatrywać wieści od Ciebie. Mam nadzieję, że napiszesz.*

*Nie zostawiaj mnie w niepewności.*

*Pięć lat temu przyrzekłeś mi to. Pamiętasz? Ufam, że dotrzymasz danego słowa.*

*Mój adres jest na kopercie, ale na wszelki wypadek podaję go też tutaj.*

*Agnieszka Stokłosa*

*West Belmont Avenue 1855*

*Chicago Illinois*

*USA*

*Chcę żebyś o tym wiedział, że każdego dnia modlę się za Ciebie.*

*Agnieszka*

Sunąłem wzrokiem po zapisanych linijkach, kończyłem i zaczynałem od nowa. Pięć, osiem, trzynaście... nie wiem, ile razy. Po prostu czytałem. Zupełnie jakbym chciał, żeby treść tego krótkiego listu wyryła się w mej pamięci na całą wieczność.

Czułem, jak głowa puchnie mi od wrażeń.

Podszedłem do okna i spojrzałem w szare, listopadowe niebo. Kilka haustów chłodnego powietrza sprawiło, że na krótką chwilę powróciłem do terażniejszości. Jeszcze trochę i zapadnie zmierzch – przemknęło mi przez myśl.

Sięgnąłem po mosiężną papierośnicę.

Wyjąłem szluga, delikatnie zrolowałem go w palcach i zapaliłem.

Tytoniowa mgławica podryfowała w stronę okna, swobodnie przecisnęła się pomiędzy kratami, a po drugiej stronie jej siwe bałwany niemal od razu rozpierzchły się w jesiennym powietrzu. Zniknęły.

Tępy wzrokiem spoglądałem przed siebie.

Nie potrafiłem, a nawet nie chciałem powstrzymać myśli. Ja, więzień 29-11, w tym momencie z czystą premedytacją zadałem sobie słodko-gorzka pokutę. Pozwoliłem, aby wspomnienia z innego życia wzbily się na rozpostartych skrzydłach emocji. Wspomnienia tak mocne, żywe i intensywne, jakby zdarzyły się wczoraj. Jakby ostatnich kilka lat nigdy nie istniało. Dobrze wiedziałem, jakie będą konsekwencje tych rozmyślań. Przerabiałem to już w więziennej celi. Mimo wszystko z pełną świadomością rzuciłem się myślami w przeszłość.